

Twarze Marrakeszu

To książka¹ na wakacje najbardziej odpowiednia. Albo przynajmniej na dni umyte słońcem, jasne i gorące. Jej bohaterem jest samo życie, najczęściej niepełne, zredukowane, słabe, marginalne. Słowem — istnienie ustawione przez Canettiego mocno (choć subtelnie) *a contrario* skandalu

¹ Elias Canetti, *Głosy Marrakeszu. Zapiski po podróży*. Tłum. Maria Przybyłowska. Gdańsk, słowo / obraz terytoria, 2013.



śmierci. Z tego tekstu sączy się bycie. Trzeba nieprzeciętnej wrażliwości, by dostrzec i uchwycić beznadzieję bezimiennych, bezzasadnych cierpień. Trzeba niezwykłego literackiego talentu, żeby z obrazów nędzy, rozpadu, brzydoty i upadku wydobyć rzecz zupełnie im przeciwną: fundamentalne piękno istnienia, które wzrusza, i obrazy, które się pamięta. Bo kiedy w zamykającym książkę opowiadaniu *Niewidzialny* Canetti pisze o „małym brązowym tobołku leżącym na ziemi, który składał się nawet nie z głosu, tylko z jednego jedyngo dźwięku [...] niskiego, długiego, chrapliwego a-a-a-a-a”, o tym Nic „poza ciemnym, szorstkim kawałkiem tkaniny” w ciemności leżącym „na ziemi jak porzucony, stary, bardzo brudny burnus”, kiedy pisze o tym ludzkim kałdłubie istocie, że jest z niej dumny, bo żyje, j e d n a k żyje „i z nadzwyczajną pilnością i wytrwałością powtarza swój jedyny dźwięk, który potrafił przeżyć wszystkie inne”, to takie przedstawienie musi poruszyć struny wrażliwości.

Jest w tej książce, jeżeli nie wszystko, to przynajmniej większość z tego, co znamy z innych tekstów Canettiego, ale nieco inaczej, bo zamknięte w poetyce skrótu, uogólniającej metafory, dzięki której udaje się pisarzowi dotknąć spraw najważniejszych. To czternaście krótkich próz, nieledwie fotograficznych migawek, rejestrujących jakąś podstawową dla tamtego świata ulotność. Miniatury Canettiego wyrosły z obserwacji świata już dzisiaj niedostępnego: miasta zaludnianego przez Arabów i Żydów (których łączy wspólne doświadczenie biedy), świata bez nowoczesnego turysty.

Bezpośrednim impulsem do napisania *Głosów Marrakeszu* była wizyta we francuskim Maroku w 1954, gdzie pisarz przebywał krótko z ekipą filmową. Canetti zjawił się tam jako Europejczyk, którego pociągała obcość miasta, bo chyba tak należy interpretować regularnie powtarzające się spaceru przemierzające zakamarki i zaułki, place i dziedzińce, to codzienne przecinanie Dżemaa el-Fna czy dążenie do *mellah*, dzielnicy żydowskiej. Jednak pod warstwą obcości dostrzega pisarz wsobność i przynależność: „Czułem się tak, jakbym dotarł do zupełnie innego miejsca, do celu mojej podróży. Nie chciałem się stąd ruszać, by-

łem tu przed setkami lat, ale zapomniałem o tym [...]”.

W tej książce szczególnie ciekawi mnie jeszcze jeden fragment. W *Opowiadaczach i pisarzach* Canetti przeciwstawia jednych drugim, wyraźnie sympatyzując z grupą *hakawatic*. Z krytyczną dosadnością rozprawa o europejskich pisarzach i ludziach literatury: „Pogardzałem nimi, bo pogardzałem też czymś w sobie, myślę, że tym czymś jest papier. Tutaj znalazłem się nagle wśród pisarzy, ku którym mogłem podnieść oczy, gdyż nie stworzyli niczego, co dałoby się przeczytać”. Czy dlatego, że kontynentalni pisarze nie widzą twarzy, „odwracają wzrok”, są szczerze oddzieleni od bliźniego i od życia, pozostając w absydzie umysłu, podczas gdy „opowiadacze” szukają kontaktu, relacji, żywego oblicza? Czy dlatego, że bardziej niż ci drudzy ujawniają swoją żarliwość („Opowiadacz wyrzucał je z siebie z mocą i ogniem; wysoce je cenił, duma z nich malowała się na jego twarzy”), potrafią zatrzymać na dłużej, stworzyć nastrój święta: „Nic nie rozumiałem, a mimo to pozostawałem w zasięgu słyszalności tych słów, zawsze jednakowo oczarowany, choć nie pojmowałem ich znaczenia”? Skądinąd twarze (ich swoista fenomenologia) to inny ważny motyw tej książki: pięknie wydanej (do czego przyzwyczał nas Piotr Kłoczowski, redaktor „Biblioteki Mnemosyne”) i równie pięknie przełożonej (przez Marię Przybyłowską, niezwykle zasłużoną tłumaczkę m.in. autobiograficznego czworoksięgu Canettiego).

Jan Burnatowski